

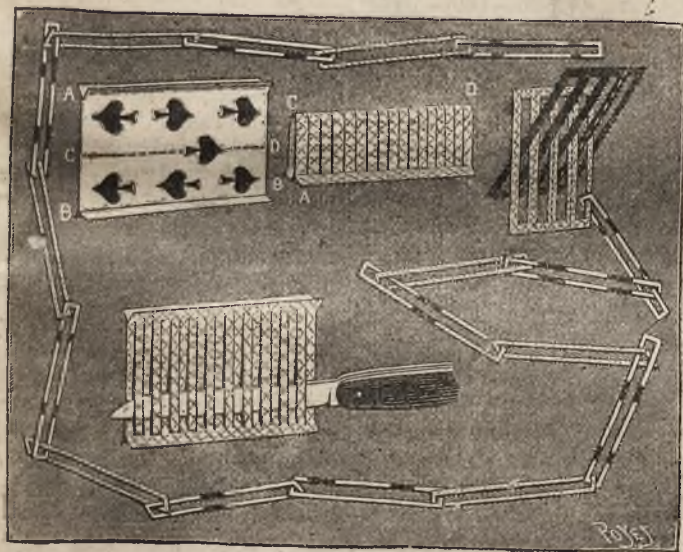


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



SZTUCZKA Z KART.

Długie wieczory zimowe uprzyjemniają różne gry i zabawki, a dobre są takie w których wyrabia się cierpliwość i zręczność. Jedną z więcej zajmujących jest utworzenie łańcuszka z ogniwek niczem nie spajanych, lecz wyciętych z jednej karty, jak nam to wskazuje powyższa rycina. Zadanie zdaje się być trudnem, prawdziwa łamigłówka, proszę jednak przeczytać uważnie jak się zabrać do rzeczy, a powodzenie jest pewne. Bierze się jakakolwiek karta od gry, lub równo przycięty kawałek brystolu; ponieważ papier karty, jako też brystol sklepany jest z cieńszych warstw, przeto nie trudno nam będzie za pomocą ostrego szczyroryka rozpołowić

oba brzegi dłuższe, głęboko na dwa milimetry t. j. aż do linii, którą sobie w pierw ołówkiem naznaczamy. Rozdzielenie to ułatwi się, gdy poprzednio oba brzegi nieco zwilżymy. Następnie w poprzek karty naznaczamy ołówkiem odstępy również 2 milimetrowe, które rozcinamy szczyrorykiem, kładąc kartę na deseczce, aby stołu nie zniszczyć; przy rozcinaniu tem jednak uważać należy na linie po brzegach naznaczone, poza które przekroczyć nie wolno. Teraz przekładamy ostrze szczyroryka pomiędzy tak powstałe żeberka karty w ten sposób, aby gdy pierwsze jest pod spodem, następne przyszło na wierzch i powoli przecinamy papier u żeberka na spodzie, lecz tylko do połowy jego grubości, t. j. aby się złączyć z poprzedniem rozdzieleniem brzegów. Drugi brzeg tak samo przeciąć należy z tą tylko różnicą, że trzeba brać na wierzch ostrza szczyroryka żeberka, które były przy pierwszem rozcinaniu na spodzie. Rycina nasza wskazuje, że powstaną w ten sposób jakby duże kraty jedna w drugiej. Teraz rozcinamy nożyczkami wzdłuż do samego brzegu każde żeberko kraty przez sam jego środek, a tak powstaną cały szereg ogniwek, które utworzą wspomniany wyżej łańcuszek.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

— *Szegenny legendy?*... ach, to więc o to ci idzie? Nie bądźże dziwną kobieto! Cóż znowu, czy ty *pandur* (żandarm) jesteś żebyś miała przeciw „biednym chłopcom” powstawać? Jakto, czyliż Pan Bóg nie dla wszystkich ludzi stworzył las,

zwierzęta i ptactwo, więc jeżeli jaki „biedny chłopiec” zabierze na swój użytek wołu lub konia pasącego się na trawie, którą także Bóg stworzył, to cóż on tak złego zrobił?... a jednak pandury zaraz go ścigają, biedak musi uciekać do lasu, a gdy tam z biedy zdarzy mu się czasem co gorszego popełnić, to któż winien, czy on, czy ci co go ścigać i tropić kazali? Oczywiście, że nie on! „Biedni chłopcy” są to wszystko poczciwi chłopcy, przecież płacą hojnie jeżeli mają czym zapłacić w naszej czardzie co niedziela. Toż czego ty się boisz żeby się z dzieckiem nie spotkali? Nie rob też z chłopca tchórza i niezdary i pozwól mu jechać choć raz ze mną, a żwawo, bo wie-przowiny niema w domu ani kawałka, a tu jutro niedziela i ludziska gdy się zjadą, nie przestaną na baraninie i wołowinie samęj.

— Szandor!... idź do domu, odzież się w ciepły kubraczek i zawiąż na szyję ten piękny nowy krawat z frendlami, który ci świeżo z jarmarku przywiozłam, a śpiesz się, kiedy pan ojciec tak każe! — zawołała gospodyni zmieniając nagle front. Chłopak poskoczył ku domowi uniesiony radością, ale poprzednio rzucił tak nie dziecinne badawcze spojrzenie na rodziców, że to zwróciło ich obojga uwagę. Zaledwo znikł we drzwiach, gdy kobieta sploniona ujęła się oburącz w boki i nagle zwracając się do męża zawołała przytupując gniewnie, z czysto madziarskiem zacięciem:

— Słuchajno mój panie, czy ty chcesz żeby twój syn został *szegeny legeny*?

— Mój syn rozbójnikiem... kobieto coś wyrzekła! oby nie w złą godzinę! — zakrzyknął gwałtownie wstrząsając się cały. A żona na to:

— Aha!... teraz to wiesz jak rzeczy zwać po imieniu, a przy dziecku wygadujesz Bóg wie co, jakbyś mu chciał umyślnie rozum pomącić! I ja litość czuję dla *szegeny legeny* i pewna jestem że oni nam ani dziecku nic złego nie robią, ani nam co porwą, chociaż bogatym ulżą worka a nieraz obedrą i powieszą, ale dziecku o takich litościach mówić nie można, tylko trzeba czarne zwać czarnem a białe białem, a *szegeny legeny* rozbójnikiem i złodziejem, bo taka jest prawda!.. Inaczej, pamiętaj że dzieciakowi tak się wyobrażenia pomieszają, że nie potrafi wcale złego od dobrego odróżnić i jeszcze, Boże broń, może sam wejść na złą drogę.

— Dosyć! nie wymawiaj! dla Boga nie wymawiaj tego kobieto!...—cicho i pokornie ale z przerożeniem przerwał mąż znowu — masz słuszność, dalibóg; cóż kiedy ten chłopak jest taki czasem mądry, zupełnie jak dorosły, że się człowiek zapomina i jak ze starym z nim rozmawia...

— A to właśnie dla tego że pomiędzy dorosłymi się chowa, a w niedzielę słyszy co wygadujecie wy starzy, *szegeny legeny, kanasze, czikoso* i wszyscy inni ze stepów, gdy się zjedzą, choć o ile mogę trzymam go przy sobie albo spać układam.

— To może lepiej niech i teraz do lasu nie jedzie?...

— Byłoby lepiej, ale kiedyś tak już raz rozporządził, to musi jechać, aby przedewszystkiem wiedział że co pan ojciec powie, to święte!...

— Już, już gotów jestem! — zawołał w tej chwili Szandor zdyszany, czerwony, wypadając z hałasem z drzwi domostwa. Miał na sobie dostatni kubraczek kończąc go wciągać na rękawy, na głowie świetny swój kapelus, a w zdrowych białych zębach, nie mogąc z pośpiechu inaczej, trzymał ostrożnie wspinały swój krawat... jaki noszą po większej części wieśniacy z okolic Jaszbereny, który dla swojej świetności podoba się w ogóle młodzieży. Przepyszny krawat z jedwabiu i krepy jedwabnej, czarny, obszyty suto złotą frendzlą, długi, ze spadającymi końcami w kształcie szala. Biegając prosto do matki po wykończenie stroju, chłopak znowu bystrem spojrzeniem badał rodziców. Pewny był że na to go wysłano aby się swobodnie rozmówić i drżał żeby w skutek tej rozmowy, nie przepadła zamierzona przejażdżka. W smutnej tej obawie utwierdziła go zakłopotana mina ojca, bo co do matki, ta zawsze miała mniej więcej nie wojowniczą, wprawdzie, lecz zwycięską postawę. Wszak wiadomo, że pomimo rzeczywistych cnót domowych Madziarek, żaden

naród nie wydał tyle amazonek co madziarski, bo wiele z tych kobiet od niepamiętnych czasów walczyło w szeregach żołnierzy obok ojców, mężów, braci...

Matka zajęła się żwawo ubraniem Szandora, mianowicie zawiązaniem cudnego krawata, w dwie olbrzymie kokardy pod brodą, z pod których jeszcze ogromniejsze dwa sute końce ze złotymi frendlami spadały na piersi, do samego pasa nieledwie!

— Ach!... — krzyknął radośnie malec i począł matkę całować gwałtownie, to w jedną to w drugą rękę, tak z powodu owego krawata, jak i dla tego że wycieczka widocznie miała mieć miejsce, pomimo skruszonej miny ojca. Po chwili namysłu gospodarz podniósł głowę i rzekł gdy matka uściskiem wzajemnym zakończyła graniczące z szalem pieszczoty malca.

— Szandor, słuchajno! — dzieciak wyprostował się nagle i opuszczając w dół ręce a głowę wznosząc do góry przystąpił do ojca patrząc mu bystro w oczy. Nikt go nigdy ruchów tych nie uczył i chłopak sam ani się domyślał ile w nich było czysto żołnierskiej służbistości i fantazyi mianowolnej zarazem, zaznaczonej miarowem pobrzękiwaniem ostróg. Madziary jak przed wiekami są dotąd narodem złożonym z żołnierzy, zwłaszcza mieszkańcy stepów, wśród których żył Szandor, zapatrując się bezwiednie na butnych i dzielnych gości, napełniających co niedziela gospodę.

— Jedziesz po raz pierwszy do lasu Bakony, chłopcze, pamiętajże sobie, iż to wszystko co przed chwilą mówiłem o „biednych chłopcach” to tylko żartowałem, tak jak my starzy ludzie żartujemy nieraz przy ognisku; prawda zaś jest że każdy prawie *szegeny legeny* jest albo rozbójnik albo złodziej, chociażby lada kogo zabił, albo konia porwał ze stepu. Wiedz bowiem że nikomu zabierać życia nie można, zaś brać sobie na własność wolno to tylko co człowiek sam sobie zapracuje, albo czem go rodzice lub kto inny życzliwy obdarzy. Zrozumiałeś? Będziesz pamiętał?

— Zrozumiałem, będę!

— No, to dobrze, bo matka dla tego lękała się puścić cię do Bakony, żebyś nie uwierzył, temu coby ci *szegeny legeny* inaczej mówili, jeżeli ich spotkamy!

— Oho!... niech poczekają aż uwierzę. Przecież matka dawno mi już to samo mówiła! — odparł mądry nie spuszczać oka z ojca, który, chcąc zaznaczyć wybitniejsze wyrazy swęj perory, przy każdym silnie sobie potężnego węża w górę podkręcał. Nikt nie wiedział że Szandor oddawna już studyował ten czysto madziarski ruch na własnej swojej wierzechniej wardze... I otóż teraz zapatrzony na ojca, biedaczek zapominał się zupełnie, i niechcący w naturalny zupełnie sposób podniósł rączkę i podkręcił sobie poważnie wąs... nie istniejący jeszcze. To było za wiele, nawet dla zwykłej powagi pana domu. ojciec roześmiał się w głos; matka śmiejąc się pochwyciła synka znów w ramiona, i ściskając, posadziła na węgierskim wozie, zaprzężonym w cztery dzielne konie, którym Janos właśnie zajechał z poza domostwa, i śmiał się także widząc co zaszło.

Na ten raz chłopczyzna doskonale zrozumiał przyczynę ogólnego śmiechu, zacerwienił się okropnie i chwytając matkę oburącz, ukrył twarzyczkę na jej piersi. Uściski przecież prędko go pocieszyły, więc odważył się jednym okiem figlarnie popatrzeć na otaczających i skrył znowu twarzyczkę jak wprzód, uśmiechając się teraz już także, sam z siebie.

— Kto ciebie nauczył węża pokręcać? — pytano.

— Ja sam... nikt... — odszepnął.

— Jakim sposobem?

— Patrzyłem w małe zwierciadło tam w matczynej izbie, i próbowałem żeby tak pokręcać jak pan ojciec... już dawno umiem.

— I pocóż to kiedy ty jeszcze wąsów nie masz?

— Ale za drugie ośm lat przecież urosną?... to już wtedy będę umiał!...

Wśród tej gawędy i pieszczot z jedynakiem, matka sadziła go w najlepszym miejscu na wozie. Ojciec opatrywał baczenie wóz i zaprząg, różne sznury i naczynia, poczer-

siadł obok syna, Szandor jeszcze raz uściśnął matkę, oddalając się od niej poraz pierwszy w życiu, Janos parobczak rozwinął bat, ale ani dotknął nim koni, tylko cmoknął, wstrząsnął cuglami z lekka, i dzielna ognista czwórka wionęła z wichrem na przegony, w step...

Stojąca przed czardą matka, głęboko pobożna jak wszystkie Madziarki, przeżegnała odjeżdżających. Potem długo stała w miejscu jak wryta, mimo nawału dzisiejszej sobotniej w domu roboty; stała goniąc okiem podróżnych, aż znikli w bezdni blasków i barw igrających na zielonym stepie, równym jak taneczna sala bezgraniczna, zalany powodzią złotego światła słonecznego. Nareszcie, wróciwszy do roboty ze zdwojoną gorliwością, aby czas stracony nagrodzić, jeła przytem gospodyni tak ostro napominać i pędzić do pośpiechu pozostałą służbę, że ta odrazu szeptać zaczęła między sobą:

— Oho!... tęskno gospodyni okrutnie za pieśczochem...

II.

Pędzi czwórka tabuńskich koni, chudych na pozór, ale wytrwałych i żwawych aż do szału. Powozi parobczak Janos w kapeluszu z piórem, kwiatami sztucznymi i wstęgą, z wielkim wąsem zakreconym w górę, w butach z ogromnymi ostrogami, z długim biczem przystrojonym w rzemieńne czerwone kokardy, nabijanym suto mosiadzem w różne wzory. W wozie siedzi gospodarz i oburącz trzyma pod pachy Szandora: bo małeć krótką tylko chwilę podczas wyjeżdżania z zagrody siedział tak, jak go matka usadowiła. Ledwo wyjechawszy, Janos jął palić z bicia raz po raz, jakby z armaty strzelał, i równie donośne wydawał okrzyki podbudzając konie do biegu. Gnały też jakby wpół oszalałe, jakby z ptakami chciały się ścigać. Więc oczywiście zerwał się Szandor i stojąc machał ramionami jak skrzydłami, pokrzykując także z całej siły. Uniesiony radością chłopak w istocie czuł jakby mu skrzydła wyrosły. A w około step bezbrzeżny zielony, widnokrąg bez granic ni końca. Szandor leciałby tak bez końca także, nawet o matce zapomniał w tej chwili, klaszcze w ręce krzycząc radośnie, gdy ogromne stada dzikiego ptactwa zrywając się do lotu z bagnistych miejscami sitowi, spłoszone szaloną jazdą. To są dropie, dzikie kaczki i gęsi; nawet żóraw i pelikan przywędrowawszy od jeziora Balatonu, pojawiają się czasami. Poważna czapla stoi tu i ówdzie nad wodą, ani myśląc się płoszyć, za to też Szandor kłania się każdej zamaszysto kapeluszem, w dowód uznania dla jej rozsądku. Czasem górą przeleci jastrząb, bażant, sęp, orzeł, sokół. Nagle step przed końmi staje się białym..

— Co to? Czy to śnieg? Co to jest ojciec? Przed nami śnieg a trawa za nami?

— Co znowu chłopcze, nie znasz to bydła? Wszak i nasze domowe ma sierść białą, tylko tutaj jest tego wielkie mnóstwo i dlatego tak ci się wydaje z daleka. Jest tu nawet i znane tobie *gulya* ze swoimi *gulyasami*, toż samo stado i ciż sami pasterze, którzy pod zimę zbliżają się do naszej czardy, gdyż im zdaleko do wsi i do lasu, i zimują to bydło w zagrodzie bez dachu w pobliżu nas, czy nie wiesz?

Chłopak nie odpowiedział, nie słysząc podobno co doń mówiono, zapatrzony w całkowicie już teraz biały step, bo rozigrana czwórka wpadła w pośrodek tych niezliczonych prawie stad białego bydła, dzikiego nieledwie zupełnie, które nigdy nie zna jarzma, ani powrósla, ani dusznego powietrza obory. Chmary tych ogromnych silnych zwierząt pierzchały jak szalone przed podróżnymi, gdyż znają tylko swoich *gulyasów* wolarzy, i białych psów swoich im jedynie pozwalają zbliżać się do siebie. Jeden i drugi *gulyas* z białym psem u nogi stał tu i ówdzie w płaszczu długim siwej barwy, wyszywany zrzynkami sukna w jaskrawe kwiaty, tulipany zwłaszcza; z toporkiem oprawnym na długi kij w rękę. Kłaniali się kapeluszami podróżnym, a Szandor kłaniał im się wzajemnie, machając kilkakrotnie kapeluszem, aby przecież widzieli jego świetne przystrojenie. I nagle wszystko zniknęło, zielony step ogarnął rozpędzoną czwórkę taki głuchy, że

Szandor aż się zdumiał na tę zmianę i przestał pokrzykiwać, a wtedy wśród ciszy doleciał doń huczny brzącający śpiew, znany mu, bo brzmiał często choć nie tak potężnie w rodzicielskim domostwie.

— *Czikosy!* — zakrzyknął dzieciak; uwielbienie drgało mu w głosie, zapął gorzał w oczach. *Czikosy* pasterze koni, najdzikszy bodaj, ale z pewną dozą szlachetności, najburzliwsi, najpiękniejsi i najstrojniejsi z mieszkańców puszt, byli ideałem Szandora. Obejrzał się więc naokół czy nie ujrzy śpiewaków, a wtem zaszumiało w zielonym stepie jakby huragan się zerwał, pociemniała zieleń i cały ten step runął ku rozpędzonej czwórce, tętent jak sto grzmotów i rzenie napęliły przestrzeń: to dzikie konie z rozpuszczoną na wiatr grzywą, zbiegają się tłumami witając swych ujarzmionych towarzyszy. Dzielna czwórka radosnem rżeniem odpowiada na serdeczne powitanie, ale pędzi wciąż, potrząsając dumnie głowami, unosząc wóz jak piórko, zdaje się owszem zdwajać biegu, jakby popisywać się chciała. Jakoż mnóstwo rumaków zaczyna z nią pędzić w zawody, to istny wyścig. Janos nie podnieca już teraz swych koni, tylko rozpiera się w wozie umacniając na nogach, odwracając chwilami głowę na jedno mgnienie oka, woła;

— Szandor, cicho! a krzepko trzymaj się wozu! Oj Szandor! — Próżne ostrzeżenie: wóz ulatuje prawie, a Szandor wychyla się zeń tracąc rozum z radości, klepie i głaszcze stepowców zbliżających się tak, iż ich dosiąść może, wydając pełne uniesienia okrzyki. Wypadłby dziesięć razy pod kopyta, gdyby ojciec nie trzymał go, ze wszystkich sił przycisakując do piersi.

(d. c. n.)

APOSTOŁ TRĘDOWATYCH.

Na oceanie Spokojnym, pomiędzy Ameryką i Australią, leży gromada wysp Sandwichskich, z których jedna wyspa Molokai, wybraną została przez rząd miejscowy na przystulek dla trędowatych. Trąd straszliwa owa plaga, z tak przerażającą prawdą opisana w „Brankach w jasyrze”, szerzy się nieubłagalnie pod pogodnem niebem tamecznem, na ziemi, którą prześlicznie stroi bogata roślinność podzwrotnikowa, w klimacie tak rozkosznym, jak mało który... Szerzenie się jej tem jest groźniejsze, że jedna to z najzaraźliwszych chorób i dlatego rząd wysp, chcąc o ile możności zapobiedz klęsce, dziesiątkującej ludność, odosobnia chorych na wspomnianą już wyspie Molokai, przewożąc ich tam gwałtem, jeżeli dobrowolnie przewieźć się nie dają.

Łatwo więc sobie wyobrazić, jak strasznym musi być pobyt wśród potwornie zeszpeconych chorych, jak nadludzkiego trzeba poświęcenia, aby dobrowolnie wśród nich zamieszkać, jak prawdziwie chrześcijańskich uczuć pełne mieć trzeba serce, aby całe życie poświęcić służbie tych, którzy odcieci od świata żyjących, nie prócz cierpienia i śmierci nie widzą przed sobą. Temu, który się na podobne poświęcenie zdobył, słusznie należy miano Apostoła trędowatych, miano pod którym cały świat chrześcijański uwielbia dzisiaj „Ojca Damiana”, Józefa de Veuster, zakonnika klasztoru OO. Misjonarzy.

Urodzony w Belgii w r. 1840, młodo się poświęcił służbie Bożej i nie wyświęcony jeszcze na kapłana, udał się w zastępstwie brata do wysp Sandwichskich, gdzie udzielał słów nauki i pomocy religijnej dość liczny tam katolikom.

Podczas ciągłych wędrówek wypadło mu udać się i na wyspę Molokai i tam, wzruszony widokiem tylu nieszczęśliwych, powziął zamiar pozostania wśród nich na zawsze. Biskup Maigret, którego pasterskiej wizycie towarzyszył do trędowatych O. Damian, pobłogosławił młodego kapłana na żywot poświęcenia i O. Damian nigdy już odtąd nie opuścił wyspy, na którą przybył w maju r. 1873. Że zaś umarł dopiero w kwietniu, lat zatem 16 pełnił apostolski swój za-

wód, niosąc pracę swoją i życie w ofierze ludziom złym bo wszelkiej nadziei pozbawionym, zepsutym i zgorzkniałym, bo odsuniętym od rodziny, od obcowania z blizniami od wszystkiego co jest życia rozkoszą i uśmiechem...

Dobrocią i łagodnością poprawił ich i zmięczył O. Damian, a praktycznym rozumem swoim i energią, obmyślił środki ulepszenia ich bytu. Oprócz kościoła, wzniosł dla nich zdrowe i obszerne pomieszkania, hojnie zaopatrzone w wodę, którą z pobliskich źródeł przeprowadził, słodził im jak mógł życie, pocieszał i krzepił w chwili śmierci, był im ojcem duchownym, bratem, towarzyszem i razem gospodarzem najlepszym. Odrodził ich moralnie i materyalnie, to też niebawem podróżni, zwiedzający od czasu do czasu wyspę Molokai, podawać zaczęli do dzienników wieści o O. Damianie, o którym wspomniano tylko dotychczas w „Rocznikach misyjnych” pismie wyłącznie poświęconem sprawozdaniu z działalności Misyjonarzy.

Dzienniki to angielskie najgorętszem się przejęły uwielbieniem dla Misyjonarza katolickiego, a angielski proboszcz jednej z parafij londyńskich zebrawszy wśród swoich parafian dość znaczną sumę przesłał ją O. Damianowi dla trędowatych, z listem, wyrażającym uczucie czci i podziwu należnego bohaterowi miłosierdzia.

Na list ten odpowiedział O. Damian z prostotą prawdziwego bohaterstwa właściwą, i pozyskawszy odtąd w p. Chapmanie gorącego wielbiciela, nieraz odbierał od niego znaczne zasiłki zebrane drogą składek. Sam trądem już dotknięty, nigdy jednak niczego nie potrzebował dla siebie, wspierał tylko nędzę chorych swoich, których kochał tem więcej, im więcej dla nich ofiar ponosił.

W r. 1888 odwiedził go Anglik, niejaki Clifford, który przywiózł mu mnóstwo darów złożonych dla trędowatych przez ludzi chętnych do świadczenia miłosierdzia. Ten to właśnie p. Clifford, naoczny świadek działalności O. Damiana, z rozrzewnieniem i podziwem o nim mówi, że „zawsze jest zadowolony, wesoły, ujmujący w obejściu, pełen prostoty, zręczny, niezmordowany w pracy, cieśla mularz jakich mało, a rachmistrz przytem wyborny! Wygląda na człowieka istotnie szczęśliwego...”

I w samą rzecz *szczęśliwym* być musiał O. Damian, bo czyż jest większe szczęście nad zapomnienie o sobie i ofiarną służbę ludzkości?

W ostatnich latach pomogli mu w pracy dwaj zakonnicy Misyjonarze, przykładem jego do ofiary zachęceniu, oraz trzy zakonnice Franciszkańki. Tak kapłani jak i Siostry, żyją w ciągłym zetknięciu z chorymi, pielęgnują ich do ostatniej chwili, sami kładą do trumny i grzebią; prawdopodobnie więc prędzej czy później, ulegną trądowi tak, jak uległ mu O. Damian. Lekarstwo przywiezione p. Clifford’a przyniosło mu na razie pewną ulgę, ale nie mogło wyleczyć go stanowczo. W ostatnich dniach marca roku 1889-go zaczął przygotowywać się na śmierć, ze spokojem i cierpliwością prawdziwie chrześcijańską. Tyle pieniędzy rozdawszy pomiędzy chorych, tak nic dla siebie nie zachował, że na ziemi leżał jak nędzarz, zaledwie po usilnych naleganiach udało się skłonić go do przyjęcia łóżka. Dnia 15-go kwietnia powołał go Bóg do siebie, a śmierć mu zesłał spokojną i lekką, jak sen przychodzący cicho. Pochowano go pod drzewem, pod którym w pierwszych czasach swego pobytu na wyspie, nie mając jeszcze mieszkania, nie jedną noc przepędził, a mogiła ta na odludnej wyspie oceanu rzucono, jest wymownym dowodem, do jak szczytnej wielkości moralnej dochodzi człowiek, który nie dla siebie żyje i wyżej ponad wszystko doczesne stawia spełnienie *dosłowne* przykazania: „będziesz miłował bliźniego, jak siebie samego.”

ZUCHWAŁSTWO UKARANE.

— Proszę dalej panienki, śmiało kuzyneczki! Mówił gąsior, do strojnych w szare sukieneczki Czterech gąsek naiwnych, co o słońca wschodzie Wybrały się z krewniakiem w podróż po ogrodzie.

— Niema tutaj nikogo, do mnie park należy, I ta struga srebrzysta która przezeń bieży, Ponad strugą jest mostek rzucony z niechcenia: Pyszne miejsce na kąpiel i gęsie marzenia!

— Gę, gę, gę!... — zawołają chórem gąski młode Idźmy przez most kuzynku, górą ponad wodę...

Lada kaczką do wody dąży z minką chmurną,

Lecz my, gęsi!... wolimy, zawsze chodzić górno!

Zatem wchodzi na kładkę gąsior, potem gąski

„Gęsiego” zamyślają iśé, bo mostek wązki...

A wtem na tenże mostek lecz z przeciwnej strony

Wszedł młody psiak i idzie mocno zamyślony...

— Usssstap!... bo ja tu idę! — zły gąsior zasyczy

— Wrrr!... — zawarczy cofając się pies ogrodniczy,

Czego syczysz gadzino? Ja radbym żyć zgodnie:

Ty bokiem idź, ja drugim, a przejdziem wygodnie!

Lecz psia skromność podnieca zuchwałstwo gąsiora,

Sądząc że to na popis przed gąskami pora

— Usssstap! — syknie raz jeszcze jak gad, jednocześnie

Rzucając się na psiaka by zranić boleśnie...

Ale pies, chociaż młody, był dobrego rodu

I we krwi miał tradycję kielkującą z młodu.

Jak ojciec brali wilki broniąc wierni dwora,

Tak pies napastowany, pochwycił gąsiora,

Za głowę, aż chrupnęła... gęsi znikły w wodzie,

I tak się zakończyła podróż po ogrodzie...

OPOWIADANIA ISLANDCZYKA.

(Dokończenie).

III.

Zamiast do celu naszej podróży, burze zagnały nas na ląd stały północnej Ameryki, zład dostałem się w ponure, obszerne przestrzenie, gdzie ciśnie się czerwono-skóry dziki tuziemiec, w miarę jak zmuszony jest ustępować przed przemocą nowszych przybyszów, rozpościerających się coraz dalej w pięknych, żyznych, lesistych, obfitujących w zwierzyne okolicach, mniej północnych. Na ten raz byłem z towarzyszami podróży i wiedziałem gdzie jestem: znajdowaliśmy się w świeżo urządzonej Brytyjskiej Kolumbii, nad brzegami rzeki Kolumbii. Przybyliśmy tam wraz z łososiami chociaż z innej strony. Znaczy to, że poznałem Indian Kolumbiijskich w miesiącu czerwcu, który jest dla nich chwilą żniwa, mającego zaopatrzyć ludność całą na cały rok w chleb, bez którego umrzećby z głodu potrzeba: chlebem tym jest łosoś. Z oceanu Spokojnego, w miesiącu czerwcu łosoś napływa na fale rzeki Kolumbii i jej przypływów, a z nich dostaje się bardzo daleko w górę mniej znacznych nawet strumieni, roznosząc w głąb obszarów pustynnych radość, szczęście, nadzieję.. co znaczy: żywność na cały rok. W okolicy, w której przebywałem w strumieniu dość obfitym i głębokim, który jednak był tylko dopływem dopływu Kolumbii, roiło się takie mnóstwo łososi, że łowił je kto żył, bez sieci, bez wędki po prostu za pomocą mocnego kija, na którego końcu przytwierdziło się duże gwóźdź w kształcie haczyka: haczykiem tym uderzywszy z góry zręcznie a silnie rybę, wyciągało się ją na brzeg jak swoją. Z przyrządzaniem na zachowanie także nie wiele jest troski, daleko mniej niż u nas z dorszem prawdziwym, po prostu suszy się rybę na wietrze rozplatawszy odpowiednio i koniec na tem. O takim zbytku i takiej skomplikowanej manipulacji jak sól i solenie, nikt tu ani pomyśli.

Łowiliśmy także inną rybę zwaną ryba-świeca. Jest ona podobna do gadziny, a łowi się tak niezmiernie chmarami, że nawet ja, Islandczyk nie rozumiałem potrzeby takich zapasów. Zrozumiałem dopiero zimą, którą trzeba było przebyć w chacie, jaką pozwolono nam sklecić sobie. Zima jest tu długa jakby skończyć się nie miała, ciemna jakby słońce zakryło oczy nie chcąc patrzeć na nędzę lud-

Wtedy wysuszona starannie ryba-świeca tłusta jak wszystkie ryby morskie, przewleczone pasmem sitowia od ogona aż do głowy, zapala się u głowy, stawia w lada czym i pali się jak najdoskonalsza świeca, dając możliwość zajęcia się pracą i przynosząc tę niewypowiedzianą ulgę, jaką daje światło ludziom pogrążonym w ciemnościach.

Ta sama ryba uwędzona jest także doskonałym, bardzo smacznym jedzeniem; a wyciskając ją silnie, otrzymuje się z niej wyborną oliwę. Żeby zaś przechować tę oliwę zbieraliśmy dziwny rodzaj porostów morskich, których korzenie dają się wydrążyć i stosownie rozciągnąć i wyciągnąć tak, że doskonale zastąpić mogą butelkę i służyć tak jak tykwy

i mróz ścisnął taki, że nie było co o tem myśleć; trzeba było więc zostać gdzie nas mróz zastał i przyjąć miejscowy sposób istnienia, aby wytrwać. Tymczasem w końcu października, kiedy mróz dochodził do 40 stopni przybyli jeszcze jacyś podróżni i udali się w dalszą drogę, ale zatrzymali się u nas, aby wziąć stosowne odzienie, że zaś byli to nielada podróżni, nie tacy jak ja nędzarze do gniazda tęskniący, lecz uczeni panowie znoszący trudy dla dobra nauki jedynie, zatem za duże pieniądze i za pomocą papierów nakazujących wszędzie wielkie dla nich względy zostali zabawnie coprawda, ale istotnie ciepło ubrani. Jeden z nich miał na sobie np. mundur ciepły, a na ten mundur włożono mu rodzaj koszuli



Zuchwalstwo ukarane.

u innych ludów. O!... czerwone-skóry w Kolumbii przynajmniej przy łososi i rybie-świecy nie mogą jeszcze skarżyć się na losy, a przecież prócz tego mają oni i drzewa jakich w Islandyi niema. Jednak ja wolę Islandyę.

Trudno się było z Kolumbii wydostać i trzeba było albo iść w stronę, w którą się nie wybierałem, albo pozostać. Że zaś pozostać nie chciałem, więc zamiast w prawo udałem się w lewo, gdy taka zdarzyła się sposobność i zamiast bliżej moich, znalazłem się jeszcze dalej choć cieszyłem się nadzieją, że dłuższą drogą przedźję do nich zawitać: po wielu przygodach stanąłem niedaleko ujścia rzeki Kołomy, wpadającej do morza Lodowatego w Syberyi wschodniej, gdzie żyją ludzie zwani Jakuci, ale sami siebie nazywają Sachaj.

IV.

Przybyliśmy do Jakutów w miesiącu sierpniu z zamiarem posunięcia się dalej na zachód, ale rzeki nagle zamarzły

z rękawami i coś podobnego do kirysu, jedno i drugie podbite lisami. Na nogi włożono mu wielkie kamasze zajęcze, a na stopy dwie pary najprzód giętkiego obuwia ze skóry renów, i bóty także z rena, sięgające powyżej kolan. Na to wszystko wpakowano mu jeszcze na całą jego postać dosyć wysoką, coś podobnego do worka z rękawami i z kapiszonem do zakładania głęboko na głowę, a całe to odzienie było zrobione z podwójnej skóry renów tak, że futro jedno szło wlosem do ciała, a drugie na zewnątrz. Prócz tego jeszcze porzyczepiano mu kawałki futra na czoło, na nos, na podbródek, na uszy. Wszystko to uwieńczono było olbrzymią czapą. Że ów dygnitarz mógł się jeszcze z tem wszystkim poruszać, przypisuję to jedynie temu, że skóra rena jest bardzo gruba i ciepła, ale mimo to bardzo i wyjątkowo lekka.

Przeżyłem tu zimę straszną, której nawet wspominać nie lubię, dość powiedzieć, że brakło pożywienia nawet dla psów, a przecież pies tutejszy mało podobny do pieszczo-

chów starego ładu, nie wiele potrzebuje, a żywionym być musi, bo bez niego trudnoby istnieć człowiekowi, a na wyżywienie psa najkonieczniej potrzeba mniej więcej, dzień nie dziesięć śledzi. Pies tutaj jest więcej wart niż pociągowe i robocze bydło gdzieindziej; tu gdzie ziemia nie wydaje nic prócz brusznic, krzaków porzeczkowych i kilku krzewów dzikich innych, przy której to wegetacji ziemia rozmazana jedynie na powierzchni. Bydło przeto tam istnieć nie może. Zastępują je psy, posłuszne, dzielne potężne, a prztem przywiązane do człowieka jak żadne inne zwierzę nie bywa; one dźwigają ciężary, pod którymi wół by się ugiął, zaprzęgane bywają do sanek jak konie pocztowe, a pędzą z sankami jak wyścigowe konie. Bez psa cóżby upolował, i jakżeby przywiózł mieszkaniac tamtejszy swą zdobycz do siedliska?

Na polowaniu czasem, ale czasem tylko zdobywa się łosia, rena, lub niedźwiedzia, a wtedy wypadek taki jest faktem pamiętnym dla rodziny całej, gdyż nie zdarza się to dość często, aby spowszednieć mogło. Nigdy nie zapomnę z jakim utęsknieniem wyczekiwałem odwilży, która rozkuwając lody, daje konieczne pożywienie psom i ludziom, pozwalając łowić rybę. W maju nastaje lato i trwa około trzech miesięcy; w czerwcu, a potem we wrześniu są tutaj rybackie żniwa, w czasie których robi się zapasy dla ludzi i psów na cały rok; a tymczasem zjada się na codzienną strawę najpyśniejsze ryby, stanowiące przysmak smakoszków, żyjących w stolicach świata. Tylko, że ryby te przyrządzone po tutejszemu, co znaczy rozprażone w jakibądź najpierwotniejszy sposób, ani podobne są do przysmaków, jakie umięją z nich sporządzać ludzie, znający się na rzeczy gdzieindziej.

W czerwcu udam się w dalszą drogę... zawsze dalej dalej do... królestwa niebieskiego...

UPIÓR.

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Smutnem następstwem słyszanych w dzieciństwie od piastunek naszych bajek i innych wytworów, rozbudzał wyobraźnię, jest skłonność do wierzenia w zjawiska fantastyczne, która się często w dzieciach rozwija i jeśli nie jest wykorzeniona późniejszym wychowaniem, wywiera wpływ na całe ich życie. Ja także miałem piastunkę, która niesforne a pomimo to chętnie słuchającego jej opowiadań chłopca, karmiła bajkami, zawierającymi w sobie prawdziwą truciznę dla młodego umysłu. Z tego powodu ślepo wierzyłem w rozmaite nedorzecznosci, w czarownice, o których, drząc całą, opowiadała mi stara Janowa, że w sobotę w nocy jeżdżą na miotle na Łysą Górę, że porywają małe niegrzeczne dzieci i unoszą je z sobą dla pożarcia w wesołym towarzystwie złych duchów. Wierzyłem, że upiory, powstając nocną porą z grobów, napastują przechodzących obok cmentarzy ludzi, których trupy później znajdowano porzucone na drodze. Wierzyłem jeszcze w inne zabobony, lecz wypadek, który zdarzył mi się w mojej młodości, na zawsze mnie z tej wiary uleczył. Opowiem go dla przestrogi młodych moich czytelników.

Kończyłem już czternasty rok, a mimo to bynajmniej nie wątpiłem o wiarogodności słów mojej piastunki: jak najtroskliwiej unikałem zbliżania się do cmentarzy, nie wychodziłem nigdy z domu po północy; jeżeli mi się zdarzyło nie spać o fatalnej tej godzinie, to leżąc w łóżku otulałem uszy kołdrą, żeby nie stać się mimowolnym świadkiem strasznych rzeczy, które wedle opowiadań Janowej, miały ozwać się wtedy w kominie. Co się wcale nie zgadza z powyższem postępowaniem, ponieważ podobna wiara w zabobony wprost przeciwną jest religii, byłem jednak nabożnym, umiałem służyć do mszy św., na której zawsze w niedzielę i święta byłem obecny, umiałem doskonale na pamięć katechizm i już odbyłem był pierwszą spowiedź. Nigdy jednak nie przyszła mi do głowy myśl, że wierząc tak ślepo w owe bajki, obrażam Boga Wszechmocnego i staję w sprzeczności z najprostszym zdrowym rozsądkiem.

Pewnego dnia, a było to przed świętem Narodzenia Najśw. Maryi Panny 8 września, obchodzonem z wielką uroczystością w parafialnym kościółku, wypadło mi jechać do pobliskiego miasteczka po zamówiony u krawca nowy garniturek, który miałem włożyć owego dnia do kościoła. Krawiec nie dotrzymał słowa; nie wykończył zamówionej roboty na czas, a ja wyrósłszy z dawniejszego ubrania, wstydziłem się w niem pokazać w gronie zwykle na to święto licznie zjeżdżającej się szlachty okolicznej. Uprosiłem więc sobie u ojca konika i bryczkę i wsiały po obiedzie do nie wykintnego tego ekwipażu, pospieszyłem do miasteczka.

Żle jednak obrachowałem się czasem: już zaczynało szarzeć, gdy zaledwo ujechałem wiorst parę. Droga prowadziła koło cmentarza i ze strachem przypominałem sobie, że wypadnie mi jechać obok niego prawie po ciemku. Jednak wstyd było wracać; krzepiąc się na duchu, popędziłem dalej konika. Już nad samym wieczorem, ukazał się moim oczom głęboki wąwóz, przez który szła droga, spadzisto spuszczała się ku jezioru, wysokie góry otaczały ten wąwóz; na szczycie jednej z nich białe mury i czerniały krzyże cmentarza. Na ten widok krew we mnie zastygła; jednak jeszcze na tyle zachowałem przytomność umysłu, że mocno ująłem lejce, gdyż popuściwszy cugli młodemu koniowi, mógłbym był łatwo wraz z nim, dzięki znacznej pochyłości, wpaść do jeziora.

Jadąc już obok cmentarza, patrzyłem uparcie wprost przed siebie, spodziewając się, że tym razem szczęśliwie uniknę niebezpieczeństwa, gdy nagle uczułem lekkie uderzenie w ramię. Włosy mi na głowie powstały ze strachu; jednak nie ośmieliłem się obrócić głowy, pewny, że upiór na to tylko czeka, aby mnie schwycić i unieść ze sobą. Wkrótce uderzenie się powtórzyło: byłem już w połowie góry, nie zważając więc na mogące mi jeszcze grozić niebezpieczeństwo wpadnięcia do wody, puściłem cugle koniowi, a ten korzystając ze swobody, galopem pobiegł na dół. Lecz jakież było moje przerażenie, gdy razy, któremi mnie okładał upiór, zamiast ustać, przeciwnie coraz prędzej i mocniej spadały na me ramiona. Nie śmiałem się obejrzeć i pędziłem konia co tchu do pobliskiego wioski, gdzie widok ludzi wracających z pola, nieco mnie oprzytomnił.

Zatrzymawszy konia, wysiadłem dla odetchnięcia, wtedy ku wielkiemu memu zdziwieniu, zauważyłem, że w tylnym kole, skutkiem nie wiem jakiego wypadku zaplątała się spora gałąź i ona to, w miarę obracania się koła, spadała na me ramiona, to słabiej, to mocniej, aż po wstrzymaniu ruchu zupełnie poruszać się przestała. Na widok tak niewinnego narzędzia moich strasznych, moralnych męczarni, parsknąłem śmiechem: wstyd mi się zrobiło przed sobą samym; przekonałem się, że strachy są tylko wytworem wyobraźni i że dzięki mej łatwości, ledwo nie straciłem życia. Niebezpieczeństwo bowiem utonięcia w jeziorze było rzeczywiście groźnem i prztem strach, pod wpływem którego się znajdowałem, mógł mnie nabawić niebezpiecznej gorączki.

Przyrzekłem sobie pokonać na zawsze nedorzeczną wiarę w zabobony i podziękowawszy Panu Bogu za otrzymaną przestrożę, zabrałem gotowy już garniturek u krawca i wróciłem tą samą drogą do domu tegoż wieczoru, a strach, powstający w skutek przyzwyczajenia, modliwą odżegnałem.

J. Ł.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

I.

Był to piękny dzień wrześniowy. W godzinach popołudniowych okręt handlowy Honduras, rozpoczął zwykłe przygotowania, poprzedzające zarzucenie kotwicy, gdyż dnia następnego, korzystając z przypływu, miał zawinąć do portu meksykańskiego Acapulco nad oceanem Spokojnym w prowincji Guerrero. Port ten jest dogodnym miejscem wyp.

KRET ŻARŁOK.



DWA DUCHY.

Czy to zimą czy latem,
Po śnieżycy czy burzy,
Gdy słońeczko nad światem
Lice niebios rozchmurzy,
Wnet w słonecznym promieniu
Na wpół drogi do świata,
Lekka jakby w marzeniu
Mała parka ulata,
To duch ziemi niebogięj
Z posłem z nieba swym bratem,
Zlatują się wpół drogi
Między niebem i światem.
Ziemiśki bratu powiada
Co śnieżycy lub burza
Nabroiła, i biada,
Jaka troska ztąd duża.
Jest dla ludzi na świecie...
A niebieski wciąż słucha
Żalów na złe zamiecie
Wyszeptanych do ucha;
Rada w radę nakoniec
Jakby otrzeć te łezki,
Ziemiśki radzi tak goniec.
A tak radzi niebieski;
Aż uradzą coś w końcu
I na ludzką pociechę,
Ten mknie w niebo po słońcu,
Tamten wraca pod strzechę.
I wnet coś się odmienia
W łzawej ludzkiej niedoli,
Lżejsze jakoś westchnienia
Serce jakoś mniej boli.

Był sobie kret. Ot taki zwyczajny jak wiele innych kretów na świecie. Kształt miał podłużny, nogi takie krótkie, że zdawało się jakby się czołgał po ziemi; szczególnie dziwne miał przednie łapki, bo zupełnie wywrócone jakby był kaleką. Oczywiście miał szczególnie, bo prawie tak maleńkie jak ziarenka maku. Nie bardzo wszakże na nie narzekał, widział co prawda mało, ale w ziemi i z najlepszymi oczami ciemno, więc z takimi jakie miał, było mu dobrze.

Szpeciła go tylko najwięcej ta brzydka wielka wada że był bardzo żarłoczny.

Wiedziały o tem wszystkie pędraki i dżdżowniki w ziemi ukryte, wiedziały polne myszy i żaby, a nawet jaszczurki i padalce, co nie zawsze przed nim umknąć mogły.

Pewnego razu zrobiło się pod ziemią wielkie zamieszanie między tamecznymi mieszkańcami: pędraki zagrzebywały się głębiej, myszy wybiegały z nor, zbierały się licznie i o czemś radziły.

O tak! straszne przerażenie ogarnęło wszystkich: kret budował sobie w pobliżu norę!

A nie była to nora zwyczajna, lecz duża komora pod starem drzewem, naokoło której szedł korytarz, a od niego znowu rozchodziło się mnóstwo korytarzy we wszystkie strony. Jeden z nich prowadził do ogrodu, drugi na pole, a był taki nawet co się kierował do pobliskiej sadzawki. Ileż pracy kret miał przy tej budowlu, bo trzeba było ziemię wszędzie mocno ubić a potem wysłać mchem i liśćmi miękimi.

— I co mu potem? — mówiły do siebie myszy — czy to nie wszystko jedno, gdzie się przespać! Et, stary mantyka! Ale rzecz ciekawa, co on będzie robił w tym swoim gmachu?

Nareszcie mieszkanie skończone. Lecz jakież było zdziwienie, kiedy kret zamiast chodzić po niem powolnie jak zwykle zwierzęta pod ziemią, biegał i zwijał się zważniej od sąsiadów.

Nie próżne też były ich obawy, kret po ukończeniu roboty ze straszną zjadłością rzucał się na każdego z nich, którego spotkał. Żarłok był nie lada i słynał ztąd na całą okolicę. Czasem tak się najadł że ledwie do mieszkania swego mógł dociągnąć, a mimo to widziało jak za godzinę najdalej znowu ubił jaką żabę, którą miał pożreć.

Mała jaszczurka chcąc się raz przekonać ile przez dzień może zjeść ten potwór, biegała za nim i przyglądała mu się z daleka. Otóż naliczyła, że tego dnia zjadł 18 poczwarek, 9 robaków, dwie gąsienice i jedną mysz!

— I że też on wszystko zobaczy — mówiły do siebie pędraki — oczu prawie nie znać takie małe, a na zdobycz wprost leci.

Nie wiedziały biedne, że on węchem poznawał i odnajdywał wszystko.

Czego one nie próbowały! Gdzie się nie kryły! ale przebiegły kret zawsze je odnalazł.

Razu pewnego zdarzyło się, że drugi kret przyciągnął w te strony, spotkały się oba. Kret gospodarz zamiast uprzejmie przyjąć obcego, rzucił się na niego i rozpoczęła się okrutna walka. Jak długo trwała niewiadomo, tylko na drugi dzień leżały w korytarzu martwe zwłoki biednego przybysza.

Po tym wypadku przekonały się wszystkie podziemne stworzonka, że niema chyba na świecie silniejszego zwierzęcia, nad owego kreta-żarłoka.

Byłby je może drapieżnik z czasem zupełnie wytepił, gdyby nie wypadek szczęśliwy.

Pewnego poranku posłyszano jakiś pisk. Jęczało pod drzewem biedne ptaszę: skrzydło miało złamane i nie mogło fruwać. Kret-żarłok słysząc to pędzi co tchu na powierzchnię ziemi, rzuca się na biedną ofiarę, chwytając ją i już ją ciągnie do swych nor, gdy wtem nagle spada znienacka kruk, porywa żarłoka, zatapia w nim swój dziób ostry i już po nim. Jak się radowano pod ziemią po tym wypadku to i opisać trudno. Porządek i cisza zapanowały tu jak dawniej.

Pędraki i dżdżowniki znowu grzebały w ziemi, gąsienice swobodnie objadały liście, a myszy zamieszkały dawny pałac kreta i tylko pamięć strasznego żarłoka długo się jeszcze przechowywała.

Marya Weryho.

ZABAWA W KONIKI,

przez BRONISŁAWĘ PORAWSKĄ.

— Mamusiul moja złota mamusiul! każ mi zawołać Antosia, będziemy się bawić w konie — prosił pięcioletni Leonek swą mamę, całując ją po rękę.

— Będzie to pewnie taki hałas, że nikt w domu nie wytrzyma — rzekła mama — a wiesz przecie że tego nie lubię ani ja, ani ojciec.

— O nie, przekona się mamusia — prosił dalej Leonek — my będziemy bardzo spokojnymi końmi, i pojedziemy sobie przez piaski, to będzie zupełnie cicho.

Mama posłała do kuchni po Antosia, był to sześcioletni synek kucharki, grzeczny i miły chłopczyk, i dla tego mama, pozwalając czasem bawić się z nim Leonkowi.

— Jesteś, jesteś — wykrzyknął Leonek radośnie — chodź, będziemy się bawić w konie i pojedziemy sobie do Warszawy. Będiesz bułanym, dobrze? a może wolisz być karym? no powiedz?

— Mnie wszystko jedno, jak Leonek chce to będę bułanym, a jak chce karym, to i tak dobrze — mówił Antoś grzecznie.

— A jakbyś ty wołał?

— Ja... ja... chciałbym być kasztankiem — rzekł Antoś nieśmiało trochę, bo mu jego mama zawsze przykazywała, żeby w pokoju był grzeczny i nigdy się z Leonkiem nie sprzeczał, bo Leonek młodszy.

— Ba, kiedy kasztanek strasznie swawolny — rzekł Leonek — ja już o tem myślałem, ale onby zaczął dokazywać, a ja przyrzekłem mamie, że konie będą spokojne.

— To dobrze, będę już bułanym — odrzekł Antoś.

— Ale wiesz co, bułany to podobno leniwy, słyszałem jak woźnica mówił do tatki — rzekł znów po chwili Leonek — jak wjedziemy na piaski, to onby ustał i potem co?

— No, to jak Leonek chce, to będę karym — powiedział zgodny Antoś — słyszałem że to dobry koń, będę karym.

I Antoś zaczął rozplątywać lejce, które porzucone leżały w kącie.

— Tylko nie wierzgaj — upominał Leonek — bo jak zaczniesz dokazywać, to będzie bat w robocie.

Antoś zaprzężony, szedł tak zgrabnie i spokojnie, że niejednen konik mógłby się od niego uczyć. Główną w górę wyrzucał, nóżkami pięknie przebierał, ale Leonek był bardzo wybredny, i wkrótce zaczął robić swoje uwagi.

— No, ty! hej! jak to idziesz — wołał coraz głośniejsze i naraz szarpnął tak silnie, że biedny konik przewrócił się na ziemię.

Ale to był mądry i dzielny konik, zamiast więc płakać, (bo takie koniki płaczą bardzo często) on prędko się podniósł, tylko się wstrząsnął i zaraz był gotów do dalszej drogi.

— Co to! będziesz się tu przewracał! — krzyknął woźnica — nie możesz to trzymać się dobrze na nogach, tylko mi jeszcze raz się przewróć, to ja cię nauczę.

I znów szarpnął lejce, ale konik mając sobie tak zagrożone, tylko się trochę pochylił, lecz się wstrzymał na nogach.

— Czekaj — rzekł po chwili takiego jeżdżenia Leonek — teraz cię zaprzęję inaczej, tak wpół lejce to nie dobrze, przywiążę ci je do rąk, czy dobrze?

— E, to ręce będą bolały — rzekł Antoś.

— Ale gdzietam, co cię to ma boleć, czyś ty taki delikatny — mówił Leonek chwytając Antosia za rękę — o, tu za łokciem ci przywiążę, to będzie dobrze.

Antoś nie chcąc się sprzeczać, pozwolił lejce zawiązać sobie na rękę, ale Leonek tak ścisnął mocno, że aż chłopczyni łzy w oczach stanęły.

— Leonku, nie tak mocno — rzekł łagodnie — to bardzo boli, niech Leonek poluźni.

— Co to za mocno — zawołał Leonek — możesz wytrzymać, przecie nie jesteś z masła.

— Ale też i nie z drzewa — odpowiedział Antoś — puść mnie zaraz, bo nie będę się bawił.

— Musisz się bawić! mamusia kazała żebyś się ze mną bawił — krzyknął Leonek, i jeszcze mocniej ścisnął sznurkami.

— Nie, nie będę się bawił — mówił Antoś ze łzami — mnie bardzo boli.

— Nieprawda, to nie może boleć — wołał Leonek, i wzięwszy bacik, chciał popędzić konika.

Konik jednak nie ruszył się z miejsca, tylko usiłował odplątać ściskające lejce.

Leonek był bardzo prędkie, i nie lubił się nad niczem zastanawiać, nie pomyślawszy więc ani chwili, uderzył konika bacikiem.

Antoś krzyknął, a tu najniespodziewaniej mama weszła do pokoju.

Leonek zaczerwienił się okropnie, a Antoś prędko łyzy ocierał, żeby ich pani nie dojrzała. Ale wszystko naróżno, bo choć malcy wcale się tego nie spodziewali, mama była w drugim pokoju, i wszystko widziała i słyszała. Podeszła prędko, odwiązała ręce Antosia, a do Leonka rzekła surowo:

— Niedobry chłopcze, jak mogłeś taką przykrość robić Antosiowi?

— Mamusiu... — jękając się rzekł Leonek — ja... myślałem że to nie boli.

— A czy nie słyszałeś jak Antoś prosił, abys mu zwolnił sznurek? czy nie widziałeś też jego? — zapytała mama.

— Ja myślałem... że on żartuje — tłumaczył się Leonek, spoglądając z boku na Antosia.

Chłopczyk zrozumiał że trzeba ratować towarzysza zbliżył się więc i rzekł chcąc się uśmiechać:

— Proszę pani, myśmy się tak bawili tylko, Leonek pewnie nie chciał żeby mnie bolało, ale ja... ja taki mądry — dodał spuszczać głowę.

— Dobry z ciebie chłopczyk — rzekła pani, gładząc Antosia po jasnej główce — i serce mocno mię boli, że mój synek, nie jest podobny do ciebie. Słyszałam jak Leonek mówił żeś ty nie taki delikatny, że nie jesteś z masła, dobrze, zobaczymy, jeżeli nie masz znaków na ręce, mniejsza będzie kara dla Leonka, ale jeżeli są...

To mówiąc, mama chciała zsunąć rękaw od ubrania Antosia, ale chłopczyk zsunął się do kolan pani i objawszy jej prosił:

— Ach najdroższa pani, mnie już nic a nic nie boli, niech pani nie gniewa się na Leonka, on tego nie zrobił ze złego serca.

Leonek zawstydził się okropnie tą dobrocią Antosia, rzucił mu się na szyję i zaczął go całować.

— Przepraszam cię Antosiu — mówił serdecznie — ja byłem bardzo niedobry, ale już tego nigdy nie zrobię. Mamusiu... — dodał, zwracając się nieśmiało do matki — ja... wiedziałem że to Antosia... boli... że... że...

I Leonek się rozplakał.

— I dobrze robiłeś? — zapytała mama.

— O! nie, nie, ja teraz wiem że źle, ja już nigdy tak go mocno nie zwiążę, jak mamusię kocham! nigdy! — zawołał z mocą.

Leonek nie zaklinał się wcale, ale teraz tak mu z głębi serca wyrwało się to zaklęcie, że mamusia uwierzyła, iż nie popełni już takiej nierozwagi, i przy zabawie nie okaże się tak nieludzkim. Bo wyciskać łyzy komu, choćby nawet dla żartu, to zawsze okazuje złe serce. Teraz chłopczyki jak zaczęli we dwóch mamę przepraszać, tak przebaczyła Leonkowi i darowała mu winę.

Bawili się też potem bardzo długo, i teraz Leonek został koniem a Antoś woźnicą, ale ten woźnica taki. Był dobry dla konika, że nie szarpał lejcami, nie fukał, a co bacikiem, to tylko dla fantazyi, wywijał w powietrzu.

I odtąd tak już było zawsze, a Antoś powiada, że jak oba dorosną, to będzie naprawdę u Leonka woźnicą i nie rozłączą się nigdy! nigdy!

Leonek znów powiada, że jak mu Pan Bóg da kiedy, że będzie miał swoje koniki i gospodarstwo, to Antoś

będzie woźnicą, ale będzie miał pomocnika, żeby zbyt ciężko nie pracował.

A jak się postarzeją, będą tacy siwi jak gołąbki, to sobie będą razem mieszkac, w zimę przed kominkiem siedzieć, podobno nawet mają fajki palić, i ciepłe piwko popijać.

Może też Bóg da, że tak i będzie.

ZAGADKA.

(ułożyła Kapłanka Znicza).

Biegnę szybko a nie mam nóg,
Drogi wam dzieci, wskazuję czas
Gdy idę koła zakreślam łuk,
Zgadnijcie ktom ja — proszę was.

Czarodziejska zgłoska.

(ułożył Myśliwiec).

Osy, soda, Ida, Katon, Korel, oko, owa, aga, wara,
kot, wada, awa, boa, kora, Kogo, kra, kocha, bada, wala.

Do tych wyrazów pododawać pewną głoskę, a otrzymamy 20 nowych znaczeń.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Szarady:

M a s ł o.

Łamigłówki kryształowej:

	L	
	k u r	
	r o d a n	
L	u d m i ł a	
	g l i n a	
	z ł a	
	a	

Skrzynka do listów.

W imieniu całej naszej redakcyi przesyłamy podziękowanie wszystkim naszym kochanym korespondentom, którzy przysłali nam życzenia świąt wesółych i oddaleni od nas, a przecie sercu blizcy, przełamali się z nami opłatkiem. Tobie więc, **Gospośiu z nad Warty**, która nas „Mateczką” nazywasz, i tobie **Niezapominajko z nad Warty**, której widać zabiegliwa sąsiadka Gospośia, zerwać nie potrzebowała, skoro jeszcze w jej okolicy kwitniesz, i tobie wdzięczny **Kwiatku polny**, i **Bajurce z ludwińskiego podwórka**, która „nie wiedziała, co robić z radości, otrzymawszy nagrodę” i **Jedlince**, która nie jest „za mało wymowną”, bo wymowę serca posiada, i ucieszonej także otrzymaną nagrodą **Świteziance** i biednemu, kaszlącemu **Kołowrotkowi** i **Góralce** w jego zarówno jak i w swoim imieniu piszącej i **Straszemu Mrozowi** i **Małemu Czytelnikowi**, którego całem sercem błogosławimy, zadość czyniąc życzeniu jego, a nawzajem mu życząc, aby powiodł mu się egzamin. Dziękujemy także **Królowej Elfów** tem pięknie, że nie przypuszczaliśmy nawet,

aby w królestwie tej pani myślaro o tak prozaicznej rzeczy, jak sianie pszenicy, **Porankowi Majowemu**, który w samej rzeczy „czuć się szczęśliwym i Bogu wdzięcznym” powinien, **Horpynie**, która trafnie odgadła, czem za miłość dla całego waszego gronka „odwdzięczyć się nam zdoła”, **Barwinkowi**, który sił swoich niech próbuje, nie biorąc nam za złe, jeżeli mu powiemy, że prób takich z bardzo małemi wyjątkami, bliskim tylko udzielać należy. Do tych „blizkich” i my się także liczymy; przeczytamy je więc chętnie, nie zobowiązując się jednak bynajmniej do rozpowszechniania ich drukiem. W dalszym ciągu należą się jeszcze podziękowania **Złotej Tęczy**, która się chce „popieścić” jakby nie przecudnem zjawiskiem, ale najzwyczajszą była dziewczynką i **Gałązce Heliotropu**, która dość długo nie odzywała się do nas i teraz dopiero dała znak życia serdecznem słówkiem życzeń; oraz **Myśliwcowi**. Straszny ów tępicieł wszelkiej „żywny”, jak dawniej mawiano, upolował zamiast odyna lub niedźwiedzia, pomysł na dwie aż łamigłówki, na których umieszczenie raczy cierpliwie czekać swojej kolei.

O toż samo prosimy **Warszawiankę**.

Wiochna z Podola ślicznie zrobiła, że skorzystawszy ze świeżo nabytej umiejętności pisania „sama prosi” nas o „Wieczory”, które ją i braciszka Leszka zajmują. **Niezabudce z nad Chomoru**. posłałam numer żądany, a od Lucia des E. odebraliśmy rozwiązanie. Wszystko więc w porządku!

W imieniu nieobecnego Julka odpowiadamy **Lampucerowi**, że wieża Eiffel’a pozostanie nierozzebraną.

Dawnym przyjaciółkom w „Wieczorach” przy Nowym Roku pomyślności życzy i pamięci się poleca, **Brzydotka z nad Tamizy**.

Kochane czytelniczki „Wieczorów Rodzinnych”! Już blisko rok prenumeruję nasze miłe pismo, a jeszcze żadna z was do mnie nie napisała, ja więc za to piszę sama do wszystkich. Nazywam się Anielcia, zaliczam się do młodszych czytelniczek, mam cztery młodsze siostrzyczki J. Z. H. M. i braciszka T. Mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Przesyłam wam, drogie panienki życzenia noworoczne, pamiętajcie odpisać jaknajprędzej kochającej was, choć wam nieznajomej, **Wesołej Krakowiance**.

Zdaje mi się droga Makolągwo, że jesteś dobrze mi znaną Anielcią M., jeżeli tak jest, przyjmij wraz z rodzeństwem serdeczne odemnie uściśnienia. Czy bywacie na odczytach pr. Sm.? Dla czego Marynia nie pisuje do „Wieczorów”? Mamie twój rączki całuje **Laureatka**.

Droga moja Brzydotko z nad Tamizy. Uczułam do ciebie wielką sympatyę, za twoje dobre serduszek, które tak o biednych pamięta. Donieś mi co o sobie miła Brzydotko, czy już dawno mieszkasz na obczyźnie? Czy dużo masz rodzeństwa? W jakim jesteś wieku? Ja mam lat 13-cie, mieszkam w gub. Podolskiej. Ściska cię i prosi o odpowiedź **Gwiazda**.

Zdaje mi się kochana Gwiazdo Polarna, że jesteś naszą dawną sąsiadką z Wylezina. Już dawno nie widziałyśmy się nieprawdza? Odpisz mi czy zgadłam kim jesteś i donieś mi co porabiasz i czy do Krakowa nie przyjeździesz? Ściskam cię z całego serca. **Makolągwa**.

Kochane. Wiewióreczko inflantska, Gwiazdo i Bombo! Pragnę korespondować z wami. Nazywam się Wanda, mam 12 lat, piwne oczy i ciemne włosy. Lubię bardzo naukę, uczę się. Ciekawa jestem jak wyglądacie i jak się zowiecie? Proszę, odpiszcie was kochającej **Zwinnéj Wiewióreczce**.

Prosiłaś mnie droga Niezabudko z nad Chomoru, ażebyś mi co o sobie doniosła, mam lat 13, jestem w 4-téj klasie, nazywam się Andzia K. i mieszkam we Włocławku. Najlepiej mi się podobała powieść „Branki w Jasyrze,” a tobie która? Szczerze ci życzyliwa **Sasanka**.

Kochana Mimoso! Czy też zgadłam, że nazwisko twoje zaczyna się od litery P., że mieszkasz w Radomiu, że nawet szłaś kosztulkę na konkurs, że twoja siostra gra na skrzypcach? Zgadnij od kogo wiem te wszystkie szczegóły, i kto jest: **Mgła**.

Wielką mi radość sprawiłaś twą odezwą, drogi Barwinku. Bardzo lubię rysunki i maluję trochę, na konną jazdę mam wielką

ochotę, ale jej jeszcze nie próbowałam. Niezmiernie lubię muzykę a z nauk historję i arytmetykę. Donieś mi proszę co o sob. **Gwiazdka nadziei**.

Kochana Śpiewna Liro! Doniosłam ci prawie wszystko, nie wiem więc, co bym jeszcze dodać mogła. Donieś, leżysz do konkursów? Ja pierwszy raz posłałam wypracowanie, lubisz teatr? Ja za nim przepadam. Całuję cię, twoja **Artyst**

Drogi moje: Jaskółeczko z nad Sekwany i Śpiewna. Ty Jaskółeczko, daruj że ci nie odpisałam dla braku czasu, procię nie martw się zerwaniem korespondencji. Pseudonym i obrałam sobie przez upodobanie, jakie mam do téj królowej. Liścik Śpiewna Liro, tak mnie ucieszył, że z radości, biegnąc numerem „Wieczorów” o mało się nie przewróciłam, gdyż to pierwszy jaki w ten sposób odebrałam. Mam lat 13, na imię m. Anna i mieszkam na wsi, lecz wolę miasto. Muzykę lubię bardzo, lecz śpiew przekładałam. Ściska was obie, kochająca **Semiramis**.

Niezapominajce z nad Warty przesyłam całuska i proszę, aby mi wybaczyła milczenie.

Drogi moje: Brzydotko z nad Tamizy, Pszeniczko i Niezapominajko z nad Warty! Ciebie Brzydotko bardzo przeprasza, że tak długo nie odpisała i zarazem dziękuje ci za miły twój liścik. Napisz mi czy lubisz muzykę i czy ci się podoba Anglia. Z tobą Pszeniczko pragnęłabym korespondować i dowiedzieć się jak ci na imię, i gdzie mieszkasz? Ty Niezapominajko z nad Warty, zgadłaś jak mi na imię. Donieś mi co ci się najwięcej podoba w „Wieczorach.” Całuję was serdecznie, **Pomadka różowa**.

Kochane: Niezapominajko z nad Warty, Kwiecie Lotosu i Poranku majowy! Donoszę wam, że Szwajcaryja bardzo mi się podobała, spędziłam tam całe wakacje. Kwiecie Lotosu, zdaje mi się że jesteś Janinką S. Czy zgadłam? Bardzo mi się podobał Poranku twój projekt niesienia pomocy uhogim, chętnie wezmę w nim udział. Ściskam was serdecznie. **Gałązka Heliotropu**.

Mimosie i Lobellii erinie pozdrowienie przesyłam, a ostatnią zapytuję, czemu na mój list nie odpowiada?

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Dowiedziawszy się, że ci robi przyjemność pozdrowienie ze Słobódki, pospieszam uściśnić ci serdecznie. Podolski płateczek śniegu przesyła uściśnienia swemu wizerunkowi na obczyźnie, a ja proszę o osobny pocałunek dla **Piosnki ze Słobódki**.

Kochana Wiewióreczko Inflantska! Wielką przyjemność sprawił mi twój miły liścik. Mam lat 15, na imię mi Irena, resztę zaś szczegółów dowiesz się o mnie w numerze 13 Wieczorów. Bardzo je lubię czytywać, teraz z wielkiem zajęciem czytałam „Podziemnia Barwałdzkiego zamku”, a tobie co się najlepiej podobało w naszych kochanych Wieczorach? Proszę cię o prędkie odpis przesyłam ci milion uściśków i pozostaję kochającą cię **Księżniczką z nad Wisty**.

Moja milutka Jaskółko z nad Sekwany! Zadziwisz się zapewne, odbierając liścik od zupełnie nieznanego sobie kwiatka, ale powiedz mi ptaszyno, czemu ty sobie tak serca zjednywać umiesz? czy że jesteś zwiastunką wiosny, czy też, że mieszkasz tak daleko od nas? Napisz dla czego bujasz nad Sekwaną i czy frunęłabyś kiedy do nas? O mnie dowiesz się z odezwy Hajduczka do Gałązki Bzu w numerze 19 Wieczorów. Ściskam cię serdecznie, nieznana przyjaciółka **Biała Akacya**.

Droga Gwiazdka z Podola. Znamy się doskonale, a nawet jesteśmy spokrewnione. Mam imię królowej, którą bardzo kocham. Zgadnij kto jestem i donieś, czy chcesz do mnie pisywać. Całuję cię **Iskierka** wraz z braciszkiem **Kłosem Podolskim**.

Drogi moje: Biała Perelko, Gospośiu z nad Warty i Bławatko z nad Horynia! Bardzo mi się podobacie, czemu nie pisujecie do mnie? Biała Perelko czy lubisz muzykę? Gospośiu, jak dużo wyhodowałaś kaczek? Bławatko czy w domu się uczysz? Na imię mi Marylka, mam rok 14-ty, mieszkam nad Niewiarzą w gub. kowieńskiej. Lubię tańczyć, śpiewać i ślizgać się na łyżwach. Odpiszcie mi koniecznie. **Kulka śniegowa**.